

Mieroszewski. Wyobrażenia (post)imperialna [TPCT 533]

Europa Środkowa ma znów przed sobą to samo zadanie, przed jakim stała niegdyś Rzeczpospolita i jakie przeczuwał paryski publicysta: stać się organizmem zdolnym samodzielnie rozstrzygać o swojej przestrzeni, dość mocnym, by odeprzeć zakusy odradzających się imperializmów, silnym i zdolnym, by tej mocy nie głośzono w słowach bez pokrycia, i odpowiednio mądrym, by nie powtórzyć dawnych błędów.

Jest w geopolitycznym położeniu Europy Środkowej prawidłowość tyleż żelazna, co okrutna: przestrzeń, która nie potrafi sama o sobie stanowić, zawsze znajdzie panów gotowych stanowić o niej za nią. Ziemię między Bałtykiem a Morzem Czarnym przez całe stulecia bywały materia cudzych projektów, polem, po którym przetaczały się ambicje imperiów wschodzących i zachodnich, które uznawały, że próżnia podmiotowości jest zaproszeniem. Jednak dobrze też wiemy, że ta część Europy miała kiedyś własną odpowiedź na to przekleństwo: sprawny organizm zdolny rozstrzygać o swoim losie – Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Zrozumienie tej logiki geoprzestrzeni miał także Juliusz Mieroszewski – publicysta paryskiej „Kultury” i najbliższy pióru towarzysz Jerzego Giedroycia. Przyjrzyjmy się zatem jego wyobraźni, w której dawny projekt regionalnej podmiotowości odradza się w pewnej formie, która zaczęła przekładać się także na polityczne *praxis*.

Zacznijmy bowiem od nieporozumienia, które ciąży nad całą sprawą. Polskie rządy nad przestrzenią dawnej Rzeczypospolitej zwykło się dziś modnie czytać przez kategorie imperium – jak gdyby Wilno i Kijów były naszymi koloniami, a unia lubelska aktem aneksji. Jest to oczywiste nieporozumienie, jednak warto też niuansować pewne dziedzictwo, które czasami zakrywa bardziej subtelna rzeczywistość. Rzeczpospolita z pewnością nie miała charakteru agresywnych imperiów, które żywią się wchłanianiem i wynaradawianiem (chciałoby się dodać: ogniem i mieczem lub krwią i żelazem). Była strukturą republikańską, wspólnotą dwóch narodów politycznych połączonych dobrowolnie w stopniu nieznanym ówczesnej Europie. A jednak właśnie dlatego ma czego żałować, bowiem jej grzechem nie było przecież okrucieństwo, lecz zmarnowana szansa. Tam, gdzie Litwa weszła do unii jako równy podmiot, Ruś takiego miejsca nigdy nie otrzymała. Koncepcja Rzeczypospolitej Trojga Narodów, która miałaby uczynić z prawosławnej, ruskiej wspólnoty trzeci filar gmachu, pojawiła się zbyt późno i zbyt słabo, dopiero w ugodzie hadziackiej, gdy wydarzenia polityczne weszły w ślepią ulicę dziejów. Polonizacja elit, ekspansja folwarku, pozycja unii brzeskiej sprawiły, że z ruskiej perspektywy republikańskie partnerstwo wyglądało jak panowanie. Powstanie Chmielnickiego nie wybuchło przecież z niczego. Mit polskiej hegemonii jest w tym ujęciu projekcją cudzą, ale też w pewnym stopniu naszą własną lekcją do przepracowania. Rzecz przecież nie w tym, aby łączyć się za rzekome «dawne grzechy», lecz po to, by zrozumieć, że podmiotowość, której nie chciało się dać innym, prędzej czy później upomina się o siebie sama.

I właśnie to zrozumienie Mieroszewski przekuwał w program polityczny. W centrum jego idei leży koncepcja skracana do trzech liter: ULB. Ukraina, Litwa, Białoruś. Za tym bądź co bądź chłodnym

akronimem kryje się rewizja całego polskiego imaginarium geopolitycznego – nagromadzonych przez wieki warstw wyobrażeń o Kresach i o naturalnym zasięgu polskiego oddziaływania na wschodzie. Mieroszewski wychodził z założenia, którego waga ujawnia się dopiero, gdy przemyśli się je do końca. Bezpieczeństwo i wolność Polski nie mogą być budowane na logice panowania nad narodami dawnej Rzeczypospolitej, lecz wyłącznie na uznaniu ich pełnej podmiotowości. Suwerenność Ukrainy, Litwy i Białorusi przestaje być problemem polskiej racji stanu i staje się jej koniecznym warunkiem, dlatego, że wolność państw wschodu jest wzmocnieniem naszej własnej, ba! jest fundamentem. Można w tym dostrzec spóźnioną o trzy wieki odpowiedź na pytanie, którego Rzeczpospolita w porę sobie nie zadała.

Bowiem jedynie region podmiotowy potrafi powstrzymać zakusy tych, którzy chcieliby o nim rozstrzygać. Tu dawny postulat Rzeczypospolitej powraca przepisany na nowo. Nie chodzi o polskie przewodnictwo ani o odtworzenie granic, lecz o wspólnotę wolnych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, zdolną razem dźwignąć ciężar własnego bezpieczeństwa. Republikę republik, w której siła płynie nie z rozmiaru terytorium pojedynczego państwa, lecz z gęstości i trwałości więzi między równymi. Logika regionu jasno dowodzi, że osobno każdy z tych narodów nie jest dostatecznym graczem, razem zaś mogą stać się poważnym podmiotem. Imperia karmią się rozproszeniem peryferii, więc jedyną trwałą odpowiedzią jest ugruntowanie silnej pozycji regionu w unii interesów, która staje się ośrodkiem zdolnym mówić własnym głosem.

Jak jednak miałyby się to dokonać, skoro za życia Mieroszewskiego nad całą tą przestrzenią rozpościerało się imperium sowieckie, zdające się wówczas tworem wiecznym? Tu dotykamy drugiego filaru jego

wyobraźni, którym był swoisty ewolucjonizm polityczny. Mieroszewski nie wierzył w rozmontowanie imperium przez militarną konfrontację, w jeden zbawienny wstrząs przecinający węzeł historii. Raczej pokładał ufność w procesie. W stopniowym rozszerzaniu europejskich norm politycznych ku peryferiom, we wzmacnianiu społeczeństw obywatelskich, w cierpliwym pobudzaniu procesów emancypacyjnych tam, gdzie kruszyła się fasada. Imperium miało nie tyle upaść pod uderzeniem, ile rozsypać się od środka, w miarę jak wzrastałaby kategoria wolnych ludzi.

Tu jednak trzeba zachować ostrożność i nie czytać Mieroszewskiego anachronicznie, jakby miał uniwersalną odpowiedź na każdą okoliczność. W roku 1989 jego intuicja sprawdziła się w sposób niemal zdumiewający, jednak nie bez udziału splotu okoliczności, których on sam nie przewidział. Wierzył w trwałość pewnych konfiguracji, które niechybnie runęły, i nie docenił innych, które miały dopiero nadejść. Co ważniejsze, rok 2022 obnażył granicę samego ewolucjonizmu. Rosja pokazała, że imperium nie zawsze rozpada się od środka pod naporem europejskich norm. Bywa, że na samo rozszerzanie tych norm reaguje zbrojną agresją, właśnie po to, by proces emancypacji przerwać u źródła. Ukraińska podmiotowość z kolei nie wyrosła z miękkiej dyfuzji wartości, lecz została okupiona krwią i obroniona wolą i stalą. Stąd korekta konieczna dla każdego, kto chce Mieroszewskiego czytać dziś poważnie. Trwałość regionu wymaga nie tylko miękkiej siły norm i społeczeństwa obywatelskiego, ale i twardej zdolności obronnej. Wolność, która nie potrafi się bronić, jest tylko zaproszeniem dla następnego pana.

Od idei do organizmu droga jest daleka i wcale nie prosta. Inicjatywa Trójmorza, najpoważniejsza dotąd próba nadania regionowi wspólnej formy, pokazała boleśnie, jak łatwo zatrzymać się w pół kroku. Zabrakło dwóch rzeczy, bez których żadna wspólnota się nie spaja. Zabrakło wspólnego wroga odczuwanego identycznie, bo zagrożenie rosyjskie inaczej brzmi w Warszawie i Wilnie, a inaczej w Budapeszcie czy nad Adriatykiem. I zabrakło lidera akceptowanego przez wszystkich, bo każda realna unia ma swój środek ciężkości, a sąsiedzi wyczuwają go natychmiast i natychmiast się go lękają. Jeśli unika się pytania o przywództwo, „republika republik” pozostaje figurą estetyczną, piękną w eseju i niestety bezsilną w polityce. Trzeba więc zapytać wprost, jaki punkt dojścia mógłby okazać się w regionie powszechnie akceptowalny.

Dlatego właśnie czytanie Mieroszewskiego dziś jest pracą nad językiem, którego wciąż nam brakuje, i nad formą, której jeszcze nie osiągnęliśmy. Europa Środkowa ma znów przed sobą to samo zadanie, przed jakim stała niegdyś Rzeczpospolita i jakie przeczuwał paryski publicysta: stać się organizmem zdolnym samodzielnie rozstrzygać o swojej przestrzeni, dość mocnym, by odeprzeć zakusy odradzających się imperializmów, silnym i zdolnym, by tej mocy nie głośzono w słowach bez pokrycia, i odpowiednio mądrym, by nie powtórzyć dawnych błędów. Postulat podmiotowości, czeka zatem na przekucie w język współczesnej polityki, w instytucje, sojusze i wspólne decyzje. Mieroszewski dał pewien zaczyn tego języka, a zarazem przykład jego granic. Czy potrafimy go dziś dopowiedzieć do końca? Czy ta lekcja w przestrzeni między Bałtykiem a Morzem Czarnym pozwoli nam na nowo sięgnąć po sprawczą podmiotowość?

Jan Czerniecki
Redaktor naczelny

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [533]:
„Mieroszewski. Wyobrażenia (post)imperialna”**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*